

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

STANISŁAW VINCENZ

Na Wysokiej Połoninie Za głosem trembity

W niedługim czasie ma się ukazać książka Dr. Stanisława Vincenza pt. „Na wysokiej połoninie” (obrazy, dumy i gawędy z wierzchołków huculskich). I. tom ma tytuł „Dawność starowieku”.

Autor, znakomity znawca Huculszczyzny, daje w tej książce obraz archaicznej kultury pasterkiej, opisuje gospodarstwo, obyczaje i zwyczaje, uwzględnia duchowe wytwory — mity, legendy i cykle wyobrażeń legendarnych i opowieści epicznych, jednym słowem daje nam wspaniały opis życia tego przepięknego zakątka naszego kraju, jakim jest Huculszczyzna.

Książka p. Vincenza ze względu na swoją wielką wartość naukową ukazuje się w przekładzie niemieckim i angielskim, niektóre zaś jej ustępy były już drukowane w szwajcarskim piśmie „Bund” i omawiane w listopadzie ub. r. na łamach włoskiego pisma „Corriere della sera”.

Dzięki uprzejmości Autora uzyskaliśmy od niego, pierwszy w Polsce, zezwolenie na przedruk niektórych ustępów z tej publikacji, z których wybraliśmy do książki pierwszej tomu I. zatytułowaną „Za głosem trembity”. Przytaczamy ją poniżej w całości, nie wątpiąc, że wywoła ona wielkie zainteresowanie wśród naszych czytelników. — Red.

Grom ognisty i szumiący wodospad znaczą miejsce urodzenia trembity. Drzewo, z którego robi się trembitę, winno być koniecznie wzięte z pnia rozlanego przez piorun, aby miało moc i doniosłość gromu, a brzoza kora, którą się szczelnie i starannie owija ten pień wydrażony w trąbę, należy wziąć z drzewa, które rosło nad wodospadem szumiącym i grającym, aby było wygrane, aby znało różne tajny leśne, które woda z puszcz przynosi.

Tak nakazują przepisy staroświeckie, dotyczące sporządzenia trembity, trąby długiej na trzy metry, o przekroju niespełna pięć centymetrów.

Dlatego też trembita, urodzona cielesnie i duchowo z lasu i stworzona dla połonin, oddawna była i jest najbardziej swoistym i najpiękniejszym instrumentem muzycznym w kraju huculskim, prztem jest najwzschodniejszą i najbardziej związaną z życiem Huculów, z tem, co w ich życiu jest ważne i istotne i piękne.

Odzywa się na uroczystości świąteczne: na Boże Narodzenie, w Św. Wieczór i podczas Pasterki przez całą noc rozbrzmiewa rozgłosnie po górach, z chaty do chaty, a głos przelatuje przez niedostępne i zaśnieżone, samotne puszczę, lub chadza za kołodnikami, którzy ze światłem i z muzyką wspinają się po wąskich i stromych ścieżynach. Góry i puszczę drzemia zaciśnięte w śniegu, a głos skrzypceczek wnikiwie wjeżdża się wśród noc. Wtórnie im polećnie trembita. Koleda jakgdyby potęguje ten spokój snu zimowego i wzmacnia poczucie błogiego bezpieczeństwa.

W święty Wieczór jest tak, jakby się leżało na łonie Bożem. Czas się zatrzymał. Świat i Bóg jest tak dobry, że nawet Archanioł, wódza czartów, Archanioł spuszcza z łańcucha, aby się porwał. I ludzie nie boją się go wtedy, zwłaszcza, że koleda broni wsi przed jego mocą. Na

Wielkanoc trembita radośnie głosi Alleluja. Przez zimę, przez posty i po Wielkiej Nocy milczy trembita. Dopiero gdy święty Jury zazieleni ruń połonin, po której dotąd tylko niedźwiedź senny chodzi, a raczej wygłodniały ślania się po ciężkim śnie zimowym — a lawiny, jak wystrzały armatnie w ponurym uroczysku skalnym pod Szpicami w Czarnohorze, dając pierwsze sygnały, hukają na cześć wiosny, odzywają się trembity. I pieśń mówi, że wtedy św. Jury dmie w trąbę żubrową, a gdy po lasach rozejdą się odgłosy, wszystkie ptaszka odniemięją. Już, już niedługo popłyną roje owiec i kóz i najroźnieszka chudoba: łagodne i flegmatyczne, lub nieco rozkapryszone i grymaśne, wypastowane przez gazdów, nie raz od cielątka w izbie za piecem chowane krówki — i ciężkie, ponure z podłuba patrzące, nieraz groźne buhaje i konie przeróżne, całe lch stada: huculskie konie, luskające dziakiem i gniewnem spojrzaniem, z cienkimi nóżkami, potężną pierśią i szeroką szyją, z buiną gestą grzywa i ozorem, kare — srokaty — bułane — białe. Popłyną od wsi ku połoninom, i rozpocznie się ta gospodarza konieczność, co od wieków porośla wzorzystem kwiecieniem zwyczaj — chód połonin. Potem odbywa się mieszanie trzód. I tutaj także, jakgdyby cofnięcie się ku dawnym pasterskim wiekom. Na połoninie własność prywatna, jakgdyby przestaje istnieć, wraca jakaś stara wspólnota, a watah jest odpowiedzialnym dowódcą trzód i nikt mu nie ma do rozkazywania.

Połonina, na którą przyprowadza się owce i bydło, staje się według pieśni — dumną z tego. Harda i nieprzystępna okrywa się mgłami, jakby chustkami. Całe lato, dzień w dzień grają trembity, zwołując pasterzy z rozległych stepów górskich, z pod szczytów, z łak i kepek, ukrytych po skałach i berdach, zwołując do posiłku, do podoju i na nocleg. Jest jeszcze tylko jeden głos równie donośny, to głos wroga połonin — dziki straszliwy ryk niedźwiedzia, o ile przepędzi się od ofiary, albo gdy wsiadłszy na wołu, lub krowę, która ucieka w strachu śmiertelnym, wali łapa po karku i śsie krew, a chce zastraszyc broniących pasterzy, albo gdy jest raniony. A dźwięk trembity donośny jest wprawdzie, lecz jakże łagodny, słodki, kojący jakby jakaś fletnia, dźwięcząca z błękitów, wyglądających z za obłoków nad szczytami. I pasterze i chudoba, gdzieś nieraz zabłąkali w gęstych mgłach, witają ten głos radośnie i śpieszą w jego kierunku. Połoninka raduje się słuchając trembity, bo to jej własny głos, a smuci się, banuje, kiedy jesienią, na święta Bogarodzicy przychodzi gazdowie po swoje trzody, i następuje tak zwane rozłączenie.

Gazdowie i gazdynie obliczają się watahem, czy właścicielem połoniny i odchodzą ze swoim użytkiem i trzódkami do chat, lub na zymarki, do siana. Konie obliadowane jasnem, czystym, drewnianym berbenyciami, napelnionymi bryndzą i masłem, lub objuczone pastremi besahami, ostrożnie stąpają po wertepach i ścieżkach, idąc w dół. Trembity grają, smucąc się łagodnie, głosząc rozłączenie. A połoninka zostaje, jak mówi pieśń, pusta i zasmucona, gdyż owieczki odchodzą.

I znów milkną trembity na czas dłuższy, chyba, że inny, równie ważny urząd spełniają, a spełniają go — także wyroki niebieskie — przez cały rok. Gdy ktoś umrze odzywają się trembity koło chaty. Inną nutę grają, inaczej wyciągają, tęsknie i sumnie zawodzą. Ale mimo to i wtedy jest w nich coś z łagodności i łaskawości słonecznego błękitu, wyglądającego nad ciemnym szczytem górskim z poza ponurej chmury. Jeśli, jadąc w pobliżu osad Huculskich, zobaczycie wieczorem ognia koło chaty i usłyszycie tęskne łkanie trembity — wiedźcie tedy, że, jak głosi pieśń — „już się komuś spiewanka skończyła” na tym padole.

Lecz myśl nasza, lecąc teraz wspomnieniem za głosem trembity, nie unosi nas ku sprawom smutnym, ku nutom tęsknym, przeciwnie, ku radośnie pogodnym, ku dawności starowieku.

Było to w roku 18., jesienną, na połoninie Kiziej pod Czarnohorą. Wiatr dobrze wiał, dał, wyl, buszował, przez dni kilka, chlostał i hulał i trząsał po lasach, nalał drzew i gałęzi, aż wreszcie wymiósł i wyczyścił niebo z chmurzysk. Zrobiła się pogoda złota, stoi tak cicho na niebie — łagodnie i ciepło.

Trembity grały na „rozłączenie”. Gazdów i ludzi z dolin było dużo, więc połonina, rozbrzmiewając okrzykami, zmieniła swój zwyczajny wygląd. Głosy radośne i nowolowania szły z góry na górę, z połoniny na połoninę, od koliby do koliby, od kszary do kszary. Rozchodziło się daleko donośne „wiwkanie”, odhukiwały okrzyki śpiewne i radosne, przeciągłe naśladowanie głosu trembity. Szły te głosy z Kiziej na Pohorówkę, z Pohorówki na Gadżynę, z Gadżyny na Mariszewską, z Mariszewskiej na Młaki i Psarówkę, z Psarówki na Kostrycz i Jezierny. Cały świat połonin się nawoływał. Zdawało się, że te ogromne przestrzenie są jakoś połączone z sobą na jeden dzień, a za głosem myśl ludzka polatywała z połoniny na połoninę, przeskakując nieprzystępne bory, puszczę wielkodrzewu i staromiedwęża, gestwiny młododrzewu, jary, przepaście i bierdy. Tam to gdzie siedzi niedźwiedź, który upolował sobie tego lata niejedną jałowkę, ale uszedł zrecznie dźwiał lub strzałą, siedzi w przepaściach leśnych, syłach lub norach, słyszy te głosy i szurzy uszy, lub śwista i dmucha z podniecenia, a wilk podnosi nos do góry i węszy. A trembity grają, a starowieckie, błyskające ogniem pistolety i krucice strzelają rozgłosnie, a głosy nawołują się z połoniny na połoninę. Rano, ranitko — słońce wstało. Skaliste zebra oszronione leciutko pyłem śnieżnym, jakby twarda zbroja, lub kolczuga zlekką posrebrzana.

A połonina taka złota, faluje łagodnie, a potok Kizja, rodząc się z siklaw na zbiorach skalnych, skacze i hula wśród kiedrowego lasu spienionymi wodami i wyśpiewuje radośnie. Na połoninie wykute w skałę krzesło. Tam siadywał przed laty najśliczniejszy z rycarzy — opryszków — Dobosz.

Na Doboszowem krześle, nad starym lasem limbowym, zakędzierzawionym, gdzie widać prościutkie, zielone, w sobie skupione, strzeliste drzewa, to znów rozczapierzone i częściami mrozem spalone na żółto, wichrem i mrozem, powykręcane wielkodrzewy — kiedry, tam siedzi sobie dobry gazda z Jasienowa, Foka Szumejowy, poważny, zany, pewny i słowny gazda, o którym pieśni do dziś dnia przetrwały. Kurzy fajkę i słucha, jak w dole puszczka szumi. Tam prabór, to jak kościół uprzątnięty, przejrzysty, z potężnymi kolumnami, to znów jakby wertep, piekielny, zawałony wiatrołomami, wywrotami potwornych korzeni, wyrwanych z ziemi wraz ze złconymi skał, zarosły gąszczami, maliniami, paprociami, porzuty dołami i pieczarami, pozostałymi go wyrwanych korzeniach, zalany moczarami.

Dobry las — boży las, Bóg go sadził, a

leśni duchowie lub niawki-wodnice ze szczytów piastują go i przysłuchują mu się. I chyba, że Bóg jeden ścinać go będzie tylko wichrami i gromami, choć to się zowie pańska własność.

Foka w swem życiu dużo gestwin leśnych wykarczował, dużo połonin z nich wyrubił. Niejedną cyrankę sianokośną, zagroził tam, gdzie przed tem wilki się gnieździły i dla siebie i dla pana, i ludziom — sąsiadom pomagał i wskazywał gdzie co można zrobić. Ale teraz pomyślał: no, tutaj naszym sztukom koniec, amen. Zostanie ten las i wiecznie mu być, ani ja, ani sam pan, ani cesarskie „fel-walterzy” nie dadzą mu rady. Nie damy — i koniec. Bo nawet gdybyś go ściał nie ścagniesz na dół, nie wywieziesz i ognie ci ścięte drzewo. Niech zostanie tak i potrzeba, bo gdzie mu być, jak nie tutaj, i gdzie się ta chudoba leśna i boża podzieje.

Foka ma odebrać swoją trzodę na połoninie, ma też skontrolować trzodę dziedzica z Krzywórnin, ale jeszcze coś ważniejszego ma tym razem powierzone sobie. Oto ma zaprosić cały naród połonin, skąd tylko kogo spotka — na wesele najstarszej córki pana z Krzywórnin.

Nietylko to na jego głowie, ale ma urządzić wszystko na weselu co należy do przyjęcia Huculów. Jego gospodarstwo tak było spójne z gospodarstwem pana-sasada, tyle stąd się nauczył, a z drugiej strony tyle pan zawdzięczał jemu, że nietylko nie mógł się wymówić od tego kłopotu, ale nawet o tem nie pomyślał. Wziął to poważnie, jako zadanie do wykonania, jako obowiązek, tak jakby to robił dla własnej córki. Idzie on do koliby i rzeźni do ludzi, do gazdów tam zgromadzonych z różnych wsi: z Żabiego, z Zelene-go, Holów, mówi jakby prosił na swoje wesele. „Ludy delikatni, gazdowie chrześni, didycz, i didyczka; i panna, i ja prosimy was na wesele, które odbędzie się na Pokrowę. Kto przyjdzie z daleka, pomieszczenie znajdzie, niech go o to głowa nie boli. Będzie wielka muzyka huculska z Żabiego, Jasienowa i Jaworowa. I będą trzy muzyki cygańskie z Bukowiny i Węgier i żydowska aż z Kołomyi. I będą nabożeństwa i służba boża, i będą zabawy i komedje różne. I także ognie będą w powietrzu, jak gwiazdy, albo kwiaty świejące. Temu to grzecznie was prosimy, zapraszamy. I kogo zobaczycie, proście, cały góry proście. Powiedźcie, że pan i didyczka i sam Foka Jasienowski zaprasza. A kto z innych połonin ciekawy — przekażcie — niech się zatrzyma koło Czerdaka, ja tam ludzi będę traktował i zapraszał na wesele. Będą księża z całych gór i polscy księża aż z Kosowa i z Kołomyi, będą panowie ze Lwowa i Wiednia, z Warszawy, ze Słobody-ropy i z Anglii i Ameryki. I będą Żydzi z całych gór, sam rabin przyjdzie z Kosowa, będą gazdy i ludzie zewsząd, bogaci i biedni, nawet stary Fudor, co to z panem kiedys wojował, przyjdzie obiecać”.

Wesele jest wogóle w górach po dziś dzień uroczystością ważną, koncentrującą w tej prymitywnej formie wiele potrzeb towarzyskich i zadowalającą wiele zainteresowań. Nie zapomina się o niem przedko. Cóż dopiero w owe czasy, kiedy góry z powodu braku komunikacji były prawie że odcięte od świata. Cóż dopiero wesele najstarszej córki starego dziedzica. Ludzie ze spokojnem zadowoleniem radośnie gwarzyli, dyskutowali, wypytując z zainteresowaniem o szczegóły. Niektórzy żalowali, że nie będą mogli przybyć z tych, czy innych powodów. Inni wypy-

kwali o nazwisko i pochodzenie „knezi” (marzeczono).

Foka wchodząc do wnętrza ciemnej kłoby, zwrócił się jeszcze osobno do staruszka Maksyma, wyniosłej i poważnej postaci o długich, białych włosach i starych, spokojnych oczach, który przybył na rozłączenie, umyślnie zaproszony przez wataha, aby był obecny przy uroczystym zagaszeniu ogniska polonińskiego; aby z tego nie wynikło coś złego, aby nie obrażali się duchy leśne, aby sam ogień się nie obraził. Maksym miał sławę wiszczenia i znachora. Huculi szanowali go w sposób bezprzykładny, sama obecność jego kłępowała i oniesmielała ludzi, mimo, że był łaskawy i dobry.

Najstarszym i najbardziej czcigodnym piastunem człowieka w puszczech i pułkowicach górskich od wieków — jest ogień. Watra — stara, prastara nazwa ogniska u wszystkich pasterzy i górali, w rozmiarzonych pasmach karpaccich, u Rumunów, Polaków, Węgrów, Szechlerów, Serbów, Niemców i Sasów, watra — to najpierwsza macierz pasterza i górala. Powiada huculska pieśń-kołoda że po urodzeniu Chrystusa „Bogarodziczka watrę okrzesała, nad tą wateką Chrysta ogrzała”. I Huculi od lat najmłodszych umi zagasić watrę, robi to przy każdej sposobności, i podobnie jak człowiek nowocześnie zapala papierosa. — Huculi przy najkrótszym odpoczynku, w lesie, na poloninie, przy drodze, nawet nad rzeką — roznieca watrę. Paliwo jest wszędzie, więc jadąc czy idąc górami polonińskimi, widzi się po wszystkich „wzyczach” i zboczach nieraz z wielkiej, bardzo wielkiej odległości, fontanny „języki płomieni” i siwe lub białe dymy od watry, snujące się malowniczo po lasach, poloninach, carynkach. A czasem wiatr skądś zanieśie wonny i krzepki zapach niewidzialnej watry. Gdy zaś podchodzi się do kłoby, nado koło obwarowanej nieraz olbrzymimi zaworami kłód i glazów, zdążyć już słysząc wesołe trzaskanie watry, a gdy się wejdzie do kłoby — słysząc jak watra śpiewa, nawodzi, jak wtórnie wichrowi polonińskiemu na nutę odwieczną. Szczególną ważność jest watra polonińska, podsyca na troskliwie i pieczołowicie, gdyż musi bez przerwy płonąć przez całe lato, na środku kłoby, na ubitej ziemi, od pierwszego rozniecenia i nie wolno jej dać zgaśnąć. Olbrzymie kłody kosodrzewiny, świerka i jałowca stanowią jej pokarm, a oczy przybysza, nie przywykłe do gryzącego dymu, ronią boż przerwy tzy.

Gaszenie watry polonińskiej i rozstawa nie są z tym ogniem, który całe lato grzał i karmił pasterzy i był ich warsztatem pracy przy wyrobie bryndzy, tembardziej nabiera cech obrzędu. Gdy Foka wszedł do kłoby, watra dogasała. Starzy Maksym poczekał chwilę, wzniósł oczy i ręce w górę i modlił się: „Ojcie święty, pozwól im odejść do chat ziemskich w spokoju, niech ogień twój święty nie szkodzi im nigdy. Jeśli zaś szkodały przysła zeń, spraw by w duszach ich nie zgasła wiara, cierpliwość i śmiałość. I niechaj wszelkie twory niespełnane i hulające trzymają na uwierzy. Twa moc święta, amen.”

Poczem Foka zwrócił się do niego z powagą, mówiąc cicho i dostojnie: „Starwie-jeś, Maksymie. Bądźcie łaskawi, nie pogńiewajcie się, nie odmówcie. Pan didycz, pania i ja, Foka, prosim was, ojcze Maksymie, na wesela. Pobłogosławcie młodemu. Od waszych dłoni szczęście spływa. Światło przychodzi na wszystkich.” Maksym, który zwykle bardzo mało mówił, popatrzył z pobłażliwym uśmiechem na Fokę, skinął głową i nie nie odpowiedział, co znaczyło, że się zgadza. Foka skłonił się przed starcem, wyszedł z ciemnej kłoby i następnie powędrował jeszcze do Doboszowej krynicy, która była oddalona o pół godziny drogi od kłoby. Tam nabrał do drewnianej manierki wody ze źródła, gdyż tak obiecał pannie młodej: Chciała tę wodę lodową z pod szczytów poświęcić i zabrać z sobą w daleką stronę. Woda Doboszowa jest niezwykle zimna, wprost lodowata w lecie, w zimie zaś przeważnie nie zamarza. Wpływa bardzo obficie z pośród olbrzymich glazów, grubo pokrytych jasno-zielonym mchem. Ale idąc w górę, można słyszeć w skałe szemranie i dudnienie, z czego należy wnosić, że właściwe źródło jest znacznie głębiej, w skałach, i dlatego woda zachowuje swoją temperaturę. Dlatego może woda Doboszowa ma sławę wody wieszce, przy znajomości zaś pewnych zaklęć można z niej zrobić wodę scailającą i przywracającą do życia.

A pieśń mówi:

„A bodaj ta młodeńka taka weseleńka — Tak jak w tej „Czarnohori woda studentka”.

Powoli i łagodnie szemrać spływała fala ludzi i bydła w doliny, a kiedy weszli w puszcze pastuchy i gazdowie, zwłaszcza z tyłu pochodu, trzymali w pogotowiu broń — stare rusznice i szerokokopyśkie muszkiety, gdyż wiedzieli, że sfera wilcza puści się, jak zwykle za trzodami i będzie im towarzyszyć aż do wsi i osad, starając się urwać, co można. Ze wszystkich polonin napływały podobne fale i spotykały się na płajach, lub też dalej na drodze nad Czeremoszem. Foka zatrzymał się tam, gdzie Bystrzec wpada do Czeremosza, w karczmie zwanej Czerdak, gdzie poprzednio zamówił większą ilość piwa, dużo kołaczy żydowskich i tytoniu, celam ugaszczania ciągnących ze wszystkich polonin ludzi, których miał zamiar prosić na wesela. „Czerdakami” zwano niegdyś starodawne strażnice, które miały za zadanie nie przepuszczać ludzi uciekających z okolic zadumionych, — przez przejścia górskie: czerdaków tych, które nieraz leżały rozwalone po lasach i puszcach, obawiano się zabobonnie, mówiąc, że leżą tam pomarli na dżumie, o wszedłszy do tych rozwalin, możnaby zbudzić dżumę. Jednak w owych czasach Czerdak przy ujściu Bystrzycy był wprawdzie samotną, ale zupełnie pogodną, a nawet wesołą przystanią, gdzie po zejściu z polonin, z górskich pustkowi i z bezdroży leśnych można było pokrzepić się piwem, bułką żydowską, dostać tytoniu i usłyszeć najnowsze wiadomości ze świata.

Stereotypowo, z naciskiem i poważnie wymawiał Foka swoją formułkę zaprosin, łagodnie wciągając ludzi do karczmy, lub podchodząc ze szklanicami do przechodzących. Dwóch starych gajowych dworskich z Krzywiorówni i dwaj młodzi synowie Foki byli mu w tem pomocni. Towarzyszyli temu radośnie okrzyki i wiaty na zdrowie gazdy Foki, dzięków i panny młodej. Co chwila rozlegały się dźwięki trąbki i wijące się bez końca tęskne koloratury fujarek. Potem zaś długie pogwarki i opowiadania z szeregiem ciekawych zapytań i nowin. Z daleka wyglądała polonina, żebra skalne owijały się mgłami, a w dole Bystrzec rwał się, szumił i piał.

I dalej toczyła się gwarna i rojna cięba ludzka i bydła. Tysiące krów, koni i nieprzejrzałe czaredy owiec posuwały się naprzód, zostawiając góry i poloniny ciche i puste. Chyba tu i ówdzie, na jakiejś zymarce, to jest chacie położonej wysoko tuż nad granicą lasu, przeznaczoną dla wypasu słana, którego nie można zwieść z powodu wysokości, zostawali samotni pastuchy lub gazdowie z bydłem, patrząc tęsknie za odchodzącymi. Tam wśród tych pustkowi mają pozostać przy bujnej, niegasnącej wotrze aż do Bożego Narodzenia, sami, tylko w towarzystwie chudoby, karmiąc ją miękkiem, wonnem siankiem.

Gdy Foka był zajęty zapraszaniem i poczęstunkiem, piękne konie jego i jego towarzysze stały uwiązane tuż obok karczmy, wysoko nad przejrzystą topielą szumiącego Bystrzeca.

Piękne i szlachetne plemiona a także jednostki ludzkie są w wielkiej mierze, lub tak nam się przynajmniej wydaje, — niespodłanym stopem przeciwieństw, czy odległych różnic, jakby dziećmi jakiegoś cudownego przypadku. Podobnie piękna rasa koni huculskich wydaje nam się, jakby dziełem owych cudownych boskich sztukmistrzów, działających w przyrodzie których my z nieświadomości nazywamy „przypadkami”. Tak różne cechy w sobie łączą: z jednej strony niezwykłą siłę, tęgość i muskularność, z drugiej zaś: zgrabność, taneczność (a nieraz akrobatyczność), rozagę, spokój i wytrawną ostrożność w badaniu niebezpieczeństw terenu, ale także ogień i niepokieszaną wściekłość dzikiego mustanga, który potrafi atakować groźnego nawet wroga, stając dęba i uderzając przednimi nogami i wierząc — i łagodność czułych, cichych, miękkih, prześlizgniętych skupionych oczu, jakby uśmiech niechętnych przebaczących.

Będąc dzieckiem marzyłem nieraz o tem, by stać się koniem, takim pięknym, spokojnym i łagodnym sroczakem, które go białe plamy śniegiem przy kontrastie pasów barwy brunatnej lub czarnej. Lub takim dumnym karoszem, o bujnej grzywie, rżącym radośnie i jak cyrkowiec stojącym co chwila dęba i wierząc gajowym psotnie w powietrze, i przeskakującym płoty, ale kiedy trzeba — i sam to widziałem — przechodzi ostrożnie, i

krok za krokiem po zgnieję, śliskiej helce, wysoko nad urwiskiem, nad spienioną głębią. Albo delikatnym bułankiem o białej grzywie, z ledwie dostrzegalnymi żyłkami i kropczkami. Wrażliwym, rozpieszczonym, nerwowym, jak dostojna panienka, wyciągającym szyję, jak łabędź z lekliwym i ciekawym wzrokiem, cudownym w biegu i galopie. Marzyłem o tem, jak o szczęściu prawdziwym: Jakież to ziszczenie piękna być — koniem. Kilku wiernych i czułych przyjaciół zyskałem z pośród koni, a były tam i inne, podziwu godne istoty konskie, o których przyjaźni nawet nie śmiałem marzyć, a tylko w cichości podziwiałem ich piękną dumę i cudowne pojęcie ruchu i rytmu, którą posiadali w każdym calu. A potem — będąc chłopcem — chciałem już tylko opiewać konia, i przyjaźni moją rozszerzyłem na wszystkie konie i starałem się odgadnąć duszę i charakter, i dole każdego konia, którego spotykałem.

Wiele utworów muzycznych, które słyszałem, jak wydawało mi się, oddawały rytm i piękno konia, zwłaszcza wir bitwy, gonitwy stada po rozległych poloninach, zmaganie się z wilkiem, ale także rytm cichego pochodu po miękkim trawiastym płaju, rytm pojenia i kąpieli w wodzie przejrzystej i rzeźwiącej, rytm cichy paszy nocnej i zacisze ciepło stajni konskiej. To też z żalem spostrzegałem z czasem, jak wiele sztuk potrzeba, aby oddać pojęcie konia.

Z pieśnią o koniu dobrym, wiernym, śmiałym i pewnym, — ale dumnym, łatwym do urażenia, — o koniu przewoźniku, koniu stróżu, — koniu piastunie „co dziecię kołysze, a uszkiem złotem szepce serca słyszy, w gwiazdy zpyłają i z gwiazd miarkuje, a w skałach progi kopytem kuje. Ponad śnieg jako płomiń wylata, a ślad ogniem srebrnym zamiat” — z taką pieśnią należałoby przystąpić do opisu Wierchowiny i jej przeszłości, ale naprawdę zdaje mi się, że przekracza to szczupłe ramy słowa.

Gdzie Huculi, tam i koń, niema Huculi, nie byłoby człowieka w górach, w czarnych puszczech i na złotych czapach polonińskich, gdyby nie koń. Przebywanie wielkich odległości i przynoszenie ciężarów do rozrzuconych i wysoko w pobliżu górskich pastwisk położonych chat huculskich nie byłoby możliwe bez konia. Wertepy i berdy, zwory i jary, wszystko to w dużym stopniu nieosiągalne bez konia, gdyż pasąc się od źrebienia po poloninach i bardach, konie huculskie są nieustraszone i osiągają zdolność przechodzenia najbardziej niebezpiecznych miejsc a umieją wspiąć się, czolgać i przysiadac w stopniu, rzadko spotykanym w rodzaju koniskim.

Powiada stare przysłowie perskich pasterzy, uwiecznione w Zend-Awście: „Przez rozum psa istnieje świat”, a my dzieci gór, patrząc na ten świat górski, rozpamiętując, jak powstał i wykuł się z puszczy czarnej, bezdennej, bezmiernej, jak puścił korzenie i zabudował się na carynkach i pastwiskach wyniosłych, jak się wdrapał w chmury, na niedostępne poloniny, jak się utrzymał i trzyma dotąd winniśmy zawołać: „Przez rozum, przez śmiałość i szlachetność konia istnieje ten świat. Stuchajcie! jak rytm szlachetny dziarskich kopyt rozlega się wród puszczy. Utorował tutaj drogę i jest zawsze bębniem pochodu pionierskiego człowieka”.

Carynkowymi, miękkimi płajami, leśna grząską lub kamienistą drożką, zimną wśród głębokiego śniegu, po lepkiej, jak guma pół zmarzłej grudzie, po lodzie lub wśród roztopów, ze strumych stoków, z chaty samotnej chybotząc się ostrożnie, stawiając każdy krok jakby obliczony, i gdzie raźnie i wesoło koń i nieśię, jak rucho ma kolebka, małe dziecko do dalekiej cerkwi do chrztu. I tak służy całe życie od kolebki człowiekowi huculskiemu, aż wreszcie na wyczerpanym i znużonym koniu ze zwieszoną głową, z za gór przyjeżdża na szczyt do chaty ksiądz, aby oddać ostatnią postugę duszy, która odchodzi.

Poloninami, puszciami, po wertepach, po skałach bieleją kości koni, które odbyły już swój wiek — zabójczy dole — spełniły zadanie. Pieśń chwale im śpiewa, a smereki chwiejące się, czerpią soki z ich krwi, wsiąkają w ziemię, rozszumiając się dalami.

Lecz ja i wy, bracia moi, gdy spełnimy zadanie, gdy zakończymy wędrówkę, zmieszajmy nasze kości z kośćmi koni, na szych towarzyszy, by razem z niemi karmić trawki drobnutkie i ziela bajne, bratnie smereki i wieszce kiedry szczytowa.

Fala polonińska się przestoczyła, a z szczególnie grupki wymykały się z głównej drogi cłowej ku ścieżkom, ku płajom do swoich przysiółków lub chat, w których każda, daleko, nieraz na odległej górze, przed wiekami się usadowiła. Główna fala, fala pochodu szła wzdłuż rzeki Czarnego Czeramoszu ku wsłom Żabie, Krzywiorówni, Jasienów, a dalej aż po za przełęcz Bukowca — na Jaworów ku ciepłemu i słonecznemu Kosowowi, albo, odwiecznym leśnym płajem ku tym dziwnym osadom i zaściankom szlacheckim Barezowom, który już na podgórzu się rozpostarły.

Czarny Czeramosz, albo Czarna rzeka, stąd tak zwany, że rodząc się z wielu źródeł pod wielkim działem wód, między trzema krajami, płynie ciągle ciemnym borem wielkodrzewnym i zbiera wszystką wodę: rzeczkę, — potoki, poniki z czarnej puszczy, sięgające na wschodzie i w górę, aż po granicę lasu i źródła ze wszystkich polonin. W tem miejscu, gdzie Bystrzec wpada — Czeramosz już jest dużą rzeką. Rozdzielając dwa wielkie i długie pasma polonińskie, Kostrycz i Kręta, sterczące z obu stron swemi odnogami, przedziera się przez skały wodospadem, zwanym „Huk”. Jednak z drogi go nie widać. Szumi głęboko w dole. Tym to jarem, zwanym także Krasnym Łuhem wiedzie droga na Żabie, i tamtey posuwał się pochód z poloniny.

W tyle za pochodem jechał stępa Foka na karym huculskim ogierze o długim ogonie i bujnej grzywie. Jechał ze swoją drużyną. Koń był osiodłany w drewnianą terlicę, obficie ozdobioną wzorzystymi inkrustacjami, podścieloną grabowymi huculskimi kocami i przepasaną wzorzystymi popręgami, zaopatrzoną w drewniane, rzeźbione strzemiona.

Twarz Foki była poważna, niezmierzenie spokojna i pogodna, od razu wzbudzająca zaufanie. Sam czarnooki, z czarnym sumiastym wąsem i długimi kruczymi włosami, przyprószonymi siwizną, a orlim nosem. Ubrany był w jaskrawe czerwone spodnie z bardzo grubego sukna, w koszuli wyszywanej, włożonej na spodnie i przepasanej niezmiernie grubym i szerokim, aż po piersi sięgającym, pasem skórzanym, nabijanym mosiężnymi gwóźdźkami, jakby jakaś prastara słowiańska zbroja skórzana. Na to zgrabny kożuszek bez rękawów, wzorzyste wyszywany. Na plecach narzucony rodzaj kurtki z takiego samego sukna, jak spodnie. Zarówno króć serdaka, jakoteż spodni ochowały niezmiernie szerokie, proste i śmiałe linie. Spodnie były u dołu obcisłe strój był krótki, ale rozmaszysty, tak, że powiększał potężną i barczystą postać Foki niemal do rozmiarów olbrzyma. Za pasem miał dwie piękne kurtce dwustrzałowe, wysadzone perłową masą i białką, to jest topór mosiężny, nabijany gwóźdźkami w piękne wzory o prostych geometrycznych formach. Przez szyję miał przewieszony ogromny staroświecki krzyż mosiężny o bizantyjskiej formie, dziurawiony symetrycznie w gwiazdki i małe krzyżyki. Przez ramię przewieszoną miał prochownicę z uciętej nasady rogów jelenich. Zarówno gruby pas skórzany, na którym wisiała prochownica, jakoteż sam róg nabijane były gęsto gwóźdźkami i świeciły z daleka, jak złoto. Duży czarny kapelus obwieszony był naprzemian to pawimi piórami, to świecidełkami w kształcie lusterek i złotych listków kwiatków. Na nogach skórzane postępy zakrecone a przodu zadzierzyscie w formie ślimakowatej. Obok niego, lub za nim jechało jeszcze czterech Huculów, wszyscy ze strzelbami. Z tych dwaj młodzi, jego synowie mieli konie i kapelusze ubrane w długie różnokolorowe wstążki — znak, że jadą zapraszać na wesela, dwaj zaś inni — byli to pobereźnicy (gajowi), dworscy: Lukyn i Ihnat. Mieli blaszane oznaki z herbem właściciela. Herb ten przedstawiał nagą pannę jadącą na niedźwiedziu. Z tyłu dreptało kilku chłopaków — pastuszków, przeznaczonych do obsługi. Tak Foka zdążył powoli do Krzywiorówni do swego przyjaciela i patrona. Rano wyruszyli z poloniny, wieczorem przybyli do dworu. Trąbiąc i strzelając z pistoletów, wjeżdżali w bramę, którą służba otwierała pośpiesznie. Radośnie jaśniały dumne i spokojne twarze i iskrzyły się oczy.

Witał ich Pan Krzywiorówni — wyprostowany i smukły, choć siwy, szlachcic polski, o ściągłej, łagodnej, nieco schowanej twarzy, wytowny i zrównoważony, — pierwszy gazda górski.

Nowa, twórcza wiedza o Mickiewiczu

Wielka wojna skończyła się w r. 1918, ale tylko w dziedzinie orężnej.

W innych dziedzinach życia współczesnego, a przede wszystkim w dziedzinie duchowej, trwa dotąd chaos — a równocześnie żmudne i tragiczne poszukiwanie człowieka, po którym ostał się jeno pusty czerep, domagający się wypełnienia nową treścią.

Stąd też w dziedzinie literatury jesteśmy świadkami porachunku z „wielkimi“, który znajduje swój wyraz w namietnej pasji odbronzowania. Pasja ta polegająca na odsłanianiu ludzkich i ujemnych rysów, a dyktowana chęcią i potrzebą ujawnienia pełni człowieczeństwa uznanych wielkości, — sama w sobie nie jest czemś, co mogłoby wywołać protest. Przeciwnie, dążąc do stworzenia kontrastu rysów powszechnych i ludzkich z rysami wyjątkowymi, które stanowią o wielkości i geniuszu, — tem wydatniej je podkreśla. Wstrętą jednak i oburzającą jest metoda „odbronzowania“, których słusznie przyrównuje się do ciekawskich sługusów, podglądających swego pana przez dziurkę od klucza.

Kapitałem przeciwstawieniem tej metody jest monografia **Juliusza Kleinera**, poświęcona dziejom twórczości Mickiewicza.* Z tego też powodu, jakkolwiek stanowi ona niewątpliwie wyraźne i świadome ukoronowanie prac badawczych nad twórczością trójcy wielkich romantyków polskich, — trudno nie podkreślić, jak bardzo ukazała się na czasie. Nie uchyla się bowiem prof. Kleiner od zajęcia postawy rewizjonistycznej i zaraz we wstępie trafnie ją uzasadnia następującymi słowami:

„Polska, nowem samoistnem życiem państwowem żyjąca wśród przemian ogromnych ludzkości, uzyskała możność nowego spojrzenia na Mickiewicza. Bo wiedza o świecie ducha buduje się nie tylko przez pracę badawczą, ale i przez to, iż w pewnych momentach życie dorasta do nieosiągalnych poprzednio stanowisk obserwacyjnych. A że wrócił Mickiewicz w ten systemat myślenia i czucia, który był polskością czasów niewoli, że na rysy jego, utrwalone w pamięci ogółu, złożyły się dwie warstwy: wielkość poety i tragedia narodowa — więc konieczne jest ponowne zdobywanie go przez pokolenia o innych podstawach bytu zbiorowego.“

Nowa monografia prof. Kleinera jest, podobnie jak poprzednie o Krasińskim i Słowackim, owocem wysiłku twórczego uczonego i artysty. Pierwszy wykonał pracę zaiste imponującą, zarówno rozmiarami, jak i zupełnością wyczerpania tematu, zaznaczonego w tytule. Ogrom jej uzmysłowić sobie można dopiero wtedy, gdy się weźmie pod uwagę, że (jak to zresztą wskazuje podtytuł: **Dzieje Gustawa**), całość stała się badań zawartych w monografii prof. Kleinera dotyczy nie życia Mickiewicza, ale problemów jego twórczości.

A przecież twórczość ta wyrasta z podglebia epoki, zrodzona jest i ściśle związana z całym jej bogactwem myślowym, uczuciowym i duchowym, któremu Mickiewicz ulegał i podlegał. Znakomite znawstwo epoki, pomnożone o pierwszorzędne kwalifikacje naukowe

badawcze, pozwala prof. Kleinerowi doskonale orientować czytelnika monografii w zawiłym splocie zagadnień, które tętniły żywą krwią w okresie mickiewiczowskim. To było tło, z którym Mickiewicz zrazu zlewał się w niepodzielną całość; by potem odcinać się od niego coraz wyraźniej, — rósł i olbrzymieć w ogniu przemian, mających za swe źródło przeżycie twórcze.

I oto dzieło prof. Kleinera — dzięki wspaniałemu obeznaniu autora z metodą badań literackich oraz mistrzowskiemu operowaniu analizą i syntezą — z niesłychaną precyzją ustala i uwyrażnia każdy moment tych przemian, sięgając do najgłębszych zagadnień twórczości Mickiewicza. Na oczach czytelnika

dokonywa się proces narastania człowieka i poety, oszałamiający zmianą perspektyw patrzenia, budzący podziw ich głębokością i trafnością, ułatwiający w stopniu najdoskonalszym duchowe obcowanie i rozumienie jego artystycznej twórczości. Podkreślić tu należy specjalną łatwość, z jaką prof. Kleiner przechodzi z jednego punktu obserwacyjnego na drugi; jak swobodnie przechodzi od analizy literackiej do koniecznych wywodów teoretycznych, aby znów wrócić do omawianego utworu i ukazać go w świetle jakże pełniejszym i bardziej wnikliwym. Jest w tem ambicja własnego wysiłku, chęć jak największego ułatwienia czytelnikowi percepcji dzieła poetyckiego. W związku z tem

przenosi prof. Kleiner całą sumę naukowych dociekań, niejednokrotnie pierwszorzędnej wagi, do przypisków i wyjaśnień, dzięki czemu monografia, komponowana na wzór jakby partytury muzycznej, odznacza się znakomitą dynamiką — i mimo charakteru naukowego interesuje niby romans biograficzny. Tłumaczyć to należy tem przede wszystkim, że prof. Kleiner dążąc do zdobycia prawdy naukowej, realizuje równocześnie postulat piękna. Bo rozległa skala wrażliwości odbiorczej, pomnożona o zdolność przeżywania rzeczywistości artystycznej i przejmowania się nią — stanowi drugą obok kwalifikacji naukowych podstawę jego postawy badawczej.

Ujmie nią niewątpliwie szerokie koła czytelników.

Władysław Pańczak

Dlaczego gotujemy nasze pokarmy?

Niebyłoby dla człowieka rzeczą niemożliwą żyć pokarmem niegotowanym, a dowodzi tego fakt, że na niektórych wyspach koralowych Oceanu Spokojnego główną część pożywienia krajowców stanowią surowe ryby i orzechy kokosowe. Niższe plemiona zwłaszcza zgłodniały wędrowcy pustyni, jak np. australijczycy, jedzą owoce, robaki, skorupiaki i małe płazy surowe, tak jak je znajdują, a widziano również brazylijczyków, naśladujących mrówkojada: wsadzali oni kij do mrowiska, pozwalając mrówkom wbiegać po nim do swych ust. Zwyczaj ten raża Europejczyków, którzy jednakże nie czują wstrętu przy jedzeniu ostróg i robaczków serowych, jeżeli do nich przywykli.

Jednakże wszystkie dzikie plemiona umieją gotować, co w istocie czyni całą ludzkość, a zwykle określenie człowieka jako „zwierzęcia gotującego“ nie posiada dowiedzonego wyjątku ani w starożytności, ani w cza-

sach nowożytnych. Ludy cywilizowane weszły tak dalece na drogę dopomagania naturze, że gotują prawie wszystko, cokolwiek jedzą, zatrzymując tylko pierwotne zwyczaje przy jedzeniu orzechów, jagód i innych płodów surowych, jako przyjemnych dla smaku. Jedzenie mięsa surowego długo uważano za oznakę niższej kultury; o eurytanach z wnętrza Grecji wspomina Tucydides, że są „nadzwyczaj ograniczeni w swej mowie i podobno jedzą surowe mięso“.

Ciepło, zastosowane do gotowania pokarmów, rozluźniając komórki i miękcząc tkanki, przez co czyni je łatwiejszymi do żucia, jest ważną pomocą w trawieniu i zaoszczędza energię, która byłaby zmarnowana przy asymilacji surowego mięsa i roślin. Odrzuć jednak trzeba tu zaznaczyć, że pokarmy roślinne i zwierzęce podczas gotowania zachowują się wręcz odmiennie.

Sprawa przyrządzania potraw z pokarmów zwierzęcych jest dość obo-

jętna. Surowe mięso befsztykowe słane, zaprawiane odpowiednio solą, pieprzem i t. d. uchodzi za bardzo pożywne. Jednak, nie można jeść surowego mięsa ryb i ptaków, lecz po ugotowaniu, czy też po usmażeniu nie ono nie traci na swej wartości odżywczej, a w czasie smażenia z dodatkiem wody i tłuszczu, tworzą się substancje o miłym zapachu i smaku, pobudzające apetyt i zachęcające do jedzenia.

Przytoczone poniżej cyfry najlepiej zilustrują wpływ gotowania i smażenia na zmianę pokarmów mięsnych.

Świeża wołowina zawiera 70.88 proc. wody, 22.51 proc. związków proteinowych, 4.52 proc. tłuszczu, 0.86 proc. substancji wyciągowych i 1.23 proc. popiołu. Ugotowana wołowina zawiera 56.82 proc. wody, 34.13 proc. związków proteinowych, 7.50 proc. tłuszczu, 0.86 proc. substancji wyciągowych i 1.15 proc. popiołu.

W przytoczonych cyfrach uderza nas przede wszystkim, że wołowina po ugotowaniu zawiera mniej wody niż surowa. Zależy to od kurczenia się włókien mięsnych w gorącu, pozbawienie właściwej jej wartości odżywczej nie uległy żadnym zmianom.

Gotowanie, pieczenie i t. d. odgrywa bezwzględnie ważniejszą rolę przy pokarmach roślinnych. Z wyjątkiem bowiem owoców, wszystkie produkty roślinne są do jedzenia za twarde. Tkanka roślinna musi być najpierw spulchniona przez gotowanie, zanim się stanie podatna do spożycia.

Zboża, ów najważniejszy nasz pokarm roślinny, przed zmieleniem na mąkę muszą być wprawdzie pozbawione łuski, otaczającej ziarna. Lecz i sama mąka także jeszcze nie nadaje się na pokarm dla ludzi ponieważ soki trawienne tylko z wielką trudnością są w stanie naruszyć ściany komórek, otaczających surowe ziarna krochmalu. Sytuacja zmienia się całkowicie dopiero przy ogrzewaniu mąki w wodzie. Podczas gotowania potraw mącznych wskutek pęcznienia ziarn pękają ściany komórek i wyzwolony w ten sposób krochmal przechodzi w stan klejki wy łatwy do strawienia. Zupełnie podobny przebieg ma także gotowanie kartofli.

Zupełnie ten sam cel, co gotowanie, ma także pieczenie chleba, przy którym osiąga się ową nadzwyczajną spulchnienie, zapewniające pieczywu wysoki stopień strawienia.

B.

Małżeństwo z Gretna Green

Znana jest, choćby ze starszych powieści angielskich, szkocka miejscowość Gretna Green, w której kowal ma dzięki jakiejś zapomnianej ustawie czy dzięki tradycji prawo dawania ślubów bez zapowiedzi i indultu. Tam to niedługo uciekały pary, które nie mogły dostać zezwolenia rodziców, a każdorazowy właściciel kuźni ciągnął pokaźne dochody ze swoich duchownych funkcji. Później małżeństwa w Gretna Green wyszły z mody, ale brytyjskie przywiązanie do tradycji odniosło tryumf w procesie, jaki skończył się niedawno w Edynburgu.

Skarżyła Estella Helena Marshall Gregory z Edynburga Williama Gaulta z Airdrie. We wrześniu r. 1931 udali się oni do Gretna Green i wzięli ślub wedle obowiązującego tam ceremoniału. Podali sobie ręce ponad kowadłem, kowal

zapytał ich czy chcą być mężem i żoną, odpowiedzieli twierdząco, wymienili oboje imiona, wreszcie podpisali dokument. Uczyniło to również dwóch świadków, a także właściciel kuźni, który w tym wypadku figuruje jako „kapłan“.

Oboje zeznali zgodnie, że z sobą nie żyli. Lecz p. Gault twierdził, że całą ceremonię uważali jedynie za zaręczyny, Miss Estella, że umówili się tylko, iż rozjeżdżą się po ślubie i zamieszkają wspólnie aż po roku. Mr. Gault energicznie temu zaprzeczył, zwracając uwagę, że późniejszy ich stosunek nie da się pogodzić z pojęciem małżeństwa.

Lord Pitman, wysoki dostojnik sądu szkockiego, przychylił się do wywodów panny Estelli, uznając ją za panią Gault i stwierdzając ważność małżeństwa, zawartego w kuźni w Gretna Green.

—0—

Hitlerowski zegar

W wiedeńskim piśmie *Neue Linie* spotykamy następujące ogłoszenie:

„Codziennie, co godzina słyszymy, jak nasze zegary biją. Bim bam, bim bam! Człowiek godzi się z tem, jako z czemś niezmiennem, ale świadomie czy nieświadomie budził się w nas oddawna pewien opór wobec tego głuchego, po cudzoziemsku brzmiącego „bim bam“.

Otóż u Kienzlego, w mieście Schwenningen, wynaleziono sposób dostarcze-

nia ludziom niemieckich zegarów, obdarzonych niemieckim głosem. Gongi nowych zegarów Kienzlego wybijają dwie nuty: co pół godziny niemiecki gong wygrywa początkowe nuty pieśni o Horście Wesselu, a pocztamski gong wybijają melodję dzwonów poczdamskiego kościoła garnizonowego. Odtąd zegary nasze będą do nas przemawiały tylko po niemiecku.“

—0—

* Juliusz Kleiner. Mickiewicz. Tom pierwszy. Dzieje Gustawa. Z 23 ilustracjami. Lwów, Zakład Nar. im. Ossolińskich, 1934; str. VIII i 532.

Dookoła literackiej nagrody Nobla

w roku 1933

Przyznanie nagrody Nobla w dziedzinie literatury pięknej rosyjskiemu pisarzowi Iwanowi Buninowi było prawdziwą niespodzianką dla całego świata literackiego... dla odpowiednich czynników, pracujących nad wytworzeniem atmosfery, przychylniej dla koncepcji wyróżnienia tym razem pisarza rosyjskiego... dla miłośników i znawców literatury rosyjskiej... dla samej tej literatury, a najprawdopodobniej i dla samego laureata... Odnaczenie Bunina wywołało znacznie więcej szumu, niż odnaczenie któregośkolwiek z dotychczasowych laureatów, przyczem gdzieś tam starano się uwzględnić rzekomo mający miejsce w tym wypadku wzgląd natury politycznej: koła literackie lewicowe, radykalne, tzw. „awangardowe” sympatyzujące z budownictwem kultury socjalistycznej w ZSSR. — dopatrywały się w przyznaniu nagrody Buninowi aktu demonstracji świata kapitalistycznego i jego burżuazyjnej, mieszczańskiej cywilizacji przeciwko Rosji Sowieckiej, która już oddawna wysuwa corocznie kandydaturę Maksyma Gorkija. Przeciwnie, emigracja rosyjska uderzyła w ton tryumfu, widząc w wyborze Bunina akt afirmacji rosyjskiej kultury a — i antybolszewickiej, kultury przedrewolucyjnej, „inteligentkiej”, której Bunin jest typowym przedstawicielem, choć i emigrację samą zaskoczył właśnie ten wybór, emigrancim bowiem kontrkandydatem Gorkija był od szeregu już lat Dymitr Mereżkowski, czółowa postać modnego przed wojną w Rosji „bogoiskatelstwa” (poszukiwania Boga) w literaturze, autor szeregu utworów, które zyskały rozgłos europejski... w pierwszym rzędzie słynnego — „Juljana Apostaty”. Z drugiej strony i emigracja rosyjska, choć z uczuciem wrecz przeciwnym temu, jakie ogarnęło literaturę i krytykę lewicową — skwapliwie dopatruje się w wyróżnieniu Bunina aktu manifestacyjnego, skierowanego przeciw Rosji Sowieckiej, a będącego uznaniem dla opozycyjnego względem ZSSR i twórczej tam sztuki i kultury — stanowiska rosyjskiej literatury emigracyjnej. Mniej więcej w ten sposób interpretują zasadnicze pobudki swego odnaczenia i sam Bunin, co zaznaczył w enuncjacji, wygłoszonej tuż po przyznaniu mu nagrody. W każdym razie nagroda ta wyciągnęła na światło dzienne spoczywającą w cieniu zapomnienia lub obojętności twórczość bezprzecznie jednego z bardzo wybitnych... jednego z najoryginalniejszych (chodzi o oryginalność na tle literatury rosyjskiej) prozaików i poetów rosyjskich, reprezentanta przedwojennej, inteligentkiej i to nie rewolucyjno-buntowniczo-inteligentkiej (jak Andrejew, Mereżkowski i inni), ale wielkopolskiej, ziemiańskiej, liberalnej z przekonań, a konserwatywnej z ducha i charakteru — inteligentkiej psychiki i kultury artystycznej rosyjskiej, z którą łączył się w Buninie wileki spokój, kultładu i autorytetu, rozmiłowanie się w klasycznych formach artystycznych... Poza tym, abstrahując od osobistości laureata, trzeba zwrócić uwagę na inne, epokowe znaczenie tego faktu: oto poraz pierwszy od czasu ufundowania nagrody Nobla przyznano ją pisarzowi rosyjskiemu, oddając w ten sposób literaturze rosyjskiej należny jej hołd i wyrażając jej uznanie, któreś cię się już od dawna, a któreś oficjalnie zmanifestowano dopiero teraz, wprowadzając jednego z autorów rosyjskich do panteonu największych — tych, którzy dostąpili najdosłowniejszego, najwyższego wyróżnienia, jakim jest nagroda Nobla.

Literatura i krytyka lewicowa nazwała odnaczenie Bunina „koronacją trupa”. Jeżeli „trup” ma się odnosić do sztuki i kultury „burżuazyjnej”, której Bunin jest

reprezentantem — to tego rodzaju epitet wogóle nie zasługuje na zajmowanie się nim — wszak to nie innego, jak nowa odmiana znanej i dosyć niemłodej już piosenki o „zgnitą” cywilizacji mieszczańskiej, „zgnitym” Zachodzie etc., etc. Więcej już podstaw miałoby zastosowanie tej nazwy do rosyjskiej literatury emigracyjnej, której Bunin jest dziś reprezentantem, a która istotnie przechodzi dziś bardzo poważny kryzys, na skutek braku łączności z żywymi źródłami kultury narodowej, — kryzys ten jednak nie przeszedł jeszcze w agonję, ani nawet w dekadencję; nazywanie natomiast „trupem” Bunina byłoby nie tylko dowodem zupełnego braku prymitywnych nawet podstaw kulturalnej walki literackiej, — ale i czemś niebezpiecznie obosiecznym — Gorkij bowiem, którego z pewnością ci, którzy natrząsają się nad „koronacją trupa”, chcieli widzieć na miejscu Bunina, w porównaniu z tym ostatnim bynajmniej nie przedstawia się jako młodzieniaszek. Najwięcej jeszcze szans miałoby nazywanie twórczości Bunina obumarłą lub obumierającą, znajduje się ona dziś istotnie w stanie poważnej dekadencji w porównaniu z tem, co napisano przedtem, nagrodę jednak Nobla prawie zawsze przyznaje się autorom starszym, znajdującym się u schyłku swej drogi twórczej, — o

wyróżnieniu zaś Bunina spewnością zdecydowały nie ostatnie jego utwory, pisane po rewolucji, na emigracji, ale te dawniejsze, które wprowadziły go w roku 1906 (urodził się w roku 1870) do Akademii Rosyjskiej w Petersburgu, które zyskały mu — niezupełnie trafny zresztą — przydomek „Tuganiewa XX. wieku”. I które uczyniły go najznakomitszym epikiem Rosji dworców wiejskich i wiejskiej inteligencji. Jest bowiem Bunin bezsprzecznie wysoce wartościowym poetą — przede wszystkim pieśnią przyrody i światnym tłumaczem (arcydziełem jest jego przekład „Piśni o Hiawathie”, poematu na tematy indyjskie amerykańskiego poety Longfellowa... najwybitniejszym niewątpliwie nowelistą rosyjskim, autorem znakomitej „Wsi” i „Pana z San Francisco” i zasługujących na uwagę — choć mniej już wybitnych — utworów pisanych na emigracji: „Miłość Miti” i zamykającego jego twórczość nawpółbiograficznego cyklu powieściowego pt. „Życie Arseniewa”.

Odmienny charakter od lewicowej, radykalnej, „awangardowej” krytyki „koronacji trupa” ma „koronacja końca”, którą analizuje na łamach ukraińskiego miesięcznika „Wiestnik” — (styczeń 1934) znany poeta i krytyk Eugeniusz Małaniuk. Tym razem sytuacja jest jasna:

„Koniec” (ów koronowany) należy odnieść do literatury rosyjskiej: ona bowiem, która zresztą — według E. Małaniuka — nigdy niczem wielkiem właściwie nie była, kończy się dziś zdecydowanie; przyczyny i objawy tego rzekomego końca analizuje właśnie w artykule o Buninie z dużą swadą, z dużym zniszczeniem przedmiot, ale z zupełnym brakiem dobrej woli — ukraiński krytyk. Przytem z artykułu jego można wysnuć jeszcze jeden i to całkiem nieoczekiwany wniosek: ma nowicie dochodzi Małaniuk do przekonania, że literatura rosyjska nie jest warta, a Bunin... Bunin — ówsem, war tościowy pisarz... no, ale to nie Rosjanin ale... Małoros... a więc niby Ukraińczyk. Autor tej koncepcji zastrzega się przed ukraińzowaniem Bunina, nie decyduje się postawić kropki nad i, ale tak sugeruje czytelnikowi, że Bunin to był człowiek Południa... Kochał Małorosję... tam się urodził i wychował... Północy zaś nie widział... miał wcale nie rosyjską psychikę itd., itd., — że nikt chyba nie ma wątpliwości, do czego zmierza. Otóż ta „południowość” Bunina może być tematem bardzo ciekawej i oryginalnej analizy tak samo, jak np. namiętna miłość Krymu czy Kaukazu u Puszkina i Lermontowa; „ukraińskim” zaś, małorosyjskim pisarzem może być nazwany Bunin o tyle tylko, o ile Mickiewicza nazywamy poetą „litewskim”, choć nigdzie nie napisał Bunin nawet: „Małorosjo, ojczyzno moja!”

TEODOR PARNICKI

Biblia z przed szesnastu wieków

Gazety doniosły, że dla Brytyjskiego Muzeum zakupiono od rządu sowieckiego słynny Codex Synaiticus, jedną z dwóch najstarszych Biblij. Warto dodać, że połowę ceny, t. j. 50.000 funtów sterlingów (ok. 1½ miliona zł.) płaci rząd W. Brytanii, drugą połowę mają pokryć składki. Sowiety nie otrzymują gotówki lecz kredyt towarowy, więc interes, jaki zrobili Anglicy, jest wcale dobry, jeżeli zważymy, że za jeden renesansowy obraz włoski płacono większe sumy.

Codex Synaiticus nazywa się tak, ponieważ znalazł go w klasztorze św. Katarzyny na górze Synaj słynny uczonej Konstanty Tischendorf. Stało się to mniej więcej 100 lat temu. Tischendorf trzykrotnie podróżował do klasztoru, z nim pozwolono mu skarb rękopiśmienny zabrać i złożyć w bibliotece carów rosyjskich.

Dokładny czas powstania rękopisu jest przedmiotem sporu między uczonymi. Niektórzy oświadczają się za wiekiem III, ale podział tekstu wedle t. zw. kanonów Euzebijusza, który działał w

pierwszej ćwierci IV w., przemawia za datą późniejszą i najprawdopodobniej należy ustalić ją ok. r. 340.

Biblię przepisywało trzech ludzi, czwarty robił poprawki i dodawał objaśnienia. Charakter pisma, w szczególności kształt litery omega, przemawia za Egiptem, gdyż jest zupełnie podobny do charakteru tamtejszych papirusów III i IV w., zgadza się też co do ortografii. Ponieważ jednak brak nam materiału rękopiśmiennego z innych krajów, niewiele stąd można wywnioskować. Może wówczas na całym świecie pisano mniej więcej jednakowo?

Drugą najstarszą Biblią świata jest Codex Vaticanus. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że wyszedł on z tego samego klasztoru skryptorium, może nawet z pod ręki jednego z trzech kaligrafów, których praca złożyła się na Codex Sinaiticus. Tego zdania był Tischendorf, ale są drobne różnice i raczej należy mówić tylko o wspólnej szkole. Zresztą i tekst nie jest całkiem identyczny, o czem niżej.

Jakie manuskrypty te przechodziły koleje, trudno ustalić. Wiadomo, że ok.

r. 340 św. Atanazy posłał cesarzowi Konstansowi jakieś teksty Pisma św. do Konstantynopola. Aby Codex Sinaiticus należał do nich, trudno sądzić, gdyż byłby został w stolicy państwa Wschodnio - rzymskiego. Tymczasem mamy pewność, że znajdował się on w V lub VI w. w Cezarei. Zapewne trafną jest hipoteza, że zabrali go z sobą na górę Synaj uchodźcy z tego miasta, gdyż w r. 638 zostało ono zdobyte przez Arabów.

Warto zauważyć, iż Codex Vaticanus zapewne również był przez jakiś czas przechowywany w Cezarei.

Naogół Biblia Synajska ma tekst bliższy tekstowi Watykańskiej, niż trzeciemu staremu, ale już nieco późniejszemu rękopisowi, zwanemu Codex Alexandrinus, a będącemu oddawna własnością British Museum. Lecz są i wypadki odmienne. Najważniejszy z nich zapewne jest fakt, że w Codex Sinaiticus mamy w Ewangelii św. Łukasza wersety o krwawym pocie, którym spłynął Pan Jezus w ogroju oliwnym, i o aniele, który zjawił się, aby Pana Jezusa pokrzepić. Miejsca tego niema ani w Codex Vaticanus, ani w Codex Alexandrinus. Jeden z uczonych angielskich wystąpił z wnioskiem, aby Muzeum Brytyjskie wystawiło słynną księgę, otwartą właśnie na tej stronie. Zresztą ze względu na wielką wartość i wynikającą stąd konieczność ścisłego nadzoru. Codex Sinaiticus będzie można oglądać tylko w jeden z dni tygodnia, mianowicie w środę lub w czwartek. Na razie jednak nie zastosowano tych ograniczeń. Księga pojawiła się na gablotce po raz pierwszy 27 grudnia i codziennie oglądają ją tłumy ludzi. Obok leżą Codex Alexandrinus (w. V) i inne stare rękopisy Pisma św., greckie i hebrajskie. Koło gablotki umieszczono puszkę na składki. W przeciągu 4 dni miało oglądać nowy nabytek Muzeum ok. 20 tysięcy ludzi. Zbiórka do puszek na pokrycie ceny kupna daje stosunkowo niskie rezultaty (najwyżej 60 funtów dziennie), ale za możniejsi nadsyłają czek na pokazniejszą sumę, nawet po kilkaset funtów.

D. S.

A. E.

Pamiętniki hr. Apponyiego

Z końcem zeszłego roku wyszły w Budapeszcie wybrane ustępy z pamiętników hr. Apponyiego pod zbiorowym tytułem: „Zdarzenia i wspomnienia”. W książce rysuje się wyraźnie sylwetka starego arystokraty o artystycznym temperamencie, który właściwie zbłądził tylko do polityki. Najpiękniej i z największą przyjemnością pisane są części książki, poświęcone przyjaźni z dwoma wielkimi muzykami, znacznie zresztą starszymi od autora, Lisztem i Wagnerem. Posiadał on subtelne odczucie muzyki i najwyższej cenił ją ze wszystkich sztuk. Również zajmujące są listy z podróży po Ameryce i po Egipcie.

Doszedłszy do sędziwego wieku i usunąwszy się prawie od praktycznej działalności, hrabia dużo rozmyślał na temat życia i czasów. Przeczył stanowczo, jakoby nowoczesne zmiany i reformy oznaczały prawdziwy postęp i wzbogacenie ducha ludzkiego. Przy-

znawał jednak skromnie, że człowiek stary nie może być bezstronnym sędzią w takim wypadku. Czyn nie jest silną stroną podeszłego wieku, ażeby więc stać się czynem, mądrość musi przesądzić się przez młodsze umysły.

Mimo katastrofy, jakiej ofiarą padły Węgry, Apponyi pozostał do końca życia optymistą. Marzył ustawicznie o odrobieniu skutków wojny światowej i snuł plany odbudowy dawnych Węgier. Te ustępy pamiętników wywołują naturalnie zastrzeżenia, ale budzą równocześnie szacunek dla gorącego patrioty.

Poza tą jedną kwestją cechuje hrabiego na każdym polu dojrzałość i umiarkowanie w sądach. Zdaje on sobie sprawę z niedomagań, nawet ze śmieszności Ligi Narodów. Zaznacza jednak, że sam fakt zbierania się pod jednym dachem zastępcy polityków nie ledwie z całego świata, sama możność dyskusji między nimi ma wielką wartość.

Cud nocy betlejemskiej w radio

W czasie Bożego Narodzenia radio-słuchacze mieli możliwość uczestniczenia w pewnym wydarzeniu, które słusznie można nazwać „cudem współczesnej techniki”. Tembardziej, że jeszcze przed kilku laty pomysł tego rodzaju trzeba by zaliczyć do nieziszczalnej fantazji. Czem bowiem innym wydawał się pomysł, aby wszystkim ludziom w Europie i Ameryce, w Azji, Afryce i Australii, na Arktydzie i Antarktydzie, we wszystkich wogóle miastach i wsiach świata, dać w dzień Bożego Narodzenia możliwość usłyszenia dzwonów betlejemskich i ceremonii religijnych, które się w tym dniu odbywają przy żłóbku Chrystusa?

Jeszcze ubiegłego roku amerykańska National Broadcasting Company miała zamiar urządzić transmisję z Betlejem, ale plan ten odpadł z powodu niezwykle trudności. Od tego czasu w radiofonii dużo się zmieniło. Zarzucony plan amerykański podjęła potężna organizacja angielska British Broadcasting Company (B. B. C.).

W kościele Bożego Narodzenia w Betlejem zainstalowano mikrofon, który — jak wiadomo — jest przyrządem zmieniającym słyszalne szmery i tony na drgania elektryczne. Te drgania elektryczne przesłano po drucie do centrali telefonicznej w Jerozolimie, gdzie zostały wzmacnione i za pośrednictwem specjalnego kabla przesłane dalej do stacji radiowej Abu Zabal w Egipcie. Stacja Abu Zabal, która posiada urządzenie pozwalające wysłać fale w pewnym określonym kierunku, przesłała otrzymane z Jerozolimy drgania elektryczne wprost do Boldock w Anglii.

W Londynie przy ulicy Królowej Wiktorji w nowym pałacu radia angielskiego, zwanym domem Faradaya, urządzono centralę, skąd nadełać miało betlejemskie uroczystości na cały świat. Można sobie wyobrazić z jakim napięciem oczekiwali flegmatyczni Anglicy wyników kosztownej próby.

Okazało się jednak, że solidne przygotowanie jest gwarancją powodzenia. Otrzymane z Boldock drgania elektryczne dały na głośniku w domu Faradaya audycję wyjątkowo czystą i piękną. Teraz trzeba ją tylko rozesłać na całą sieć światową stacji radiowych, które miały uroczystości betlejemskie transmitować dla swych słuchaczy. Anglicy wykorzystali wszystkie możliwości. Z Londynu rozesłano audycję do Ottawy w Kanadzie i Nowego Jorku w Stanach Zjednoczonych, do Cap Town w Południowej Afryce i do Bombaju w Azji, oraz do Sydney w Australii i Wellingtona w Nowej Zelandji. Pozatem otrzymały ją prawie wszystkie stacje europejskie.

Odbywało się to z niesłychaną szybkością. Słuchacze radiowi w Betlejem otrzymywali z Dawenty głos dzwonów równocześnie z uczestnikami uroczystości w kościele Bożego Narodzenia.

Wielka trudność leżała w tym, że radio w tym dniu pokonało zupełnie czas na kuli ziemskiej, które, jak wiadomo — zmienia się odpowiednio do położenia geograficznego. Uroczystości w Betlejem odbywały się o godz. 10-tej wieczorem według czasu miejscowego. W środkowej Europie była wówczas godzina 9 wieczorem, w Londynie dopiero 8-ma, na wschodnich kregach Ameryki i Kanady zaledwie trzecia popołudniu. W Bombaju zegar wskazywał w tym samym czasie 1.30, a w Sydney... 6 godzinę zrana następnego dnia.

Aby więc radjosiłuchacze tych egzotycznych krajów mogli otrzymać audycję betlejemską — niewątpliwie w czasie, gdy u nich zapada wieczór wigilijny, usłyszane z Dawenty odgłosy utrwaliło w poszczególnych rozgłośniach na płytach gramofonowej lub na taśmie filmu dźwiękowego — i dopiero w odpowiedniej porze reprodukowano tę audycję słuchaczom.

Ta naprawdę w światowej skali pomysła audycję dała chrześcijańskiemu światu niesłychanie dużo zadowolenia. Gdy się pomyśli, że jeszcze niedawno, aby móc usłyszeć głos dzwonów betlejemskich trzeba było odbywać daleką pielgrzymkę do Ziemi Św. — zadowole-

nie to stanie się zupełnie zrozumiałe. — I jeszcze jedno, że właśnie dzięki radio cały świat chrześcijański mógł uczestniczyć w uroczystościach przy żłóbku Chrystusa i mógł mieć u siebie w domu cząstkę tego uroczystego nastroju, który tam panuje.

Następnego dnia, tj. 25 grudnia radio angielskie zorganizowało audycję, która w całym blasku pokazała światową potęgę imperium brytyjskiego, będąc równocześnie wielką manifestacją brytyjskiej wspólnoty i solidarności. Radio angielskie transmitowało bowiem mowę króla Jerzego do wszystkich krajów.

które znajdują się pod panowaniem angielskim, odbierając nawzajem od nich pozdrowienia. Nie było zakątka ziemi, na którym nie mogłaby być słyszana mowa króla Jerzego. Po przemówieniu króla odezwała się Południowa Afryka, Kanada, Irlandia, Nowa Zelandia, Australia, Indie i wiele innych krajów i dominjów brytyjskiego imperium. Było to plastyczne słuchowisko o wielkości i potędze Anglii.

F. P.

O migdałkach, pogodzie i wyrostku robaczkowym

Zdawałoby się, że trudno dopatrzeć się jakiegoś związku między stanem pogody, migdałkami, a wyrostkiem robaczkowym, którego ostre zapalenie t. zw. „appendicitis” wymaga niejednokrotnie natychmiastowego zabiegu operacyjnego, celem uratowania życia pacjenta.

Tymczasem lekarze od dłuższego już czasu poświęcają dużo uwagi tym zagadnieniom, dochodząc do bardzo interesujących wniosków.

W szczególności dr. A. Hagentorn, kierownik kliniki chirurgicznej na Uniwersytecie w Kownie wysunął na podstawie długoletniej obserwacji teorię, iż wypadki ostrej „appendicitis” (nazywanej u nas popularnie, a niezupełnie trafnie zapaleniem ślepej kiszki) wykazują okresy większego lub mniejszego nasilenia, zależne od warunków atmosferycznych.

Stan atmosfery ma niewątpliwie duży wpływ na całe życie organiczne. Dotyczy to zarówno wszystkich tkanek naszego ciała, jak i znajdujących się w naszym organizmie bakterij chorobotwórczych. Zdaniem dr. Hagentorna, niema poprostu choroby, która by nie była w pewnym stopniu zależną od zmian atmosferycznych. Oczywiście, — musi zaistnieć równocześnie szereg innych czynników, osłabiających odporność organizmu i sprzyjających wybuchowi choroby. W danym wypadku takim, bardzo ważnym czynnikiem jest

niehigieniczne i nieracjonalne odżywianie się. A więc „przejeżdżanie się” podczas świąt, czy uczt, picie zimnego piwa, posilanie się w podróży na stacjach itp.

Normalnie jednak tego rodzaju błędy dietetyczne nie pociągają za sobą groźnych następstw. Otóż dr. Hagentorn zaobserwował w ciągu swej praktyki, iż ostre napady appendicitis zdarzają się najczęściej na wiosnę i w jesieni, w okresie gwałtownych burz i nagłych skoków temperatury.

Jest to objaw bardzo charakterystyczny, stwierdzony w całym szeregu wypadków: bywają miesiące, w których nie notowano ani jednego wypadku, — w innych znów okresach czasu zdarzało się stale po kilka wypadków dziennie.

Do podobnych wniosków doszedł też zmarły niedawno chirurg wiedeński prof. Föderl, zwracając uwagę, że najwięcej wypadków appendicitis notowano w dni burzliwe. Równocześnie zaobserwował on często wypadki tej choroby w dni pogodniejsze, co niewątpliwie stało w związku z obfitymi libacjami niedzielnymi.

Słynny lekarz szwajcarski dr. Sahli określił niegdyś appendicitis jako „anginę wyrostka robaczkowego”. W określeniu tem, na pozór zupełnie dowolnem, jest dużo słuszności. Przedewszystkiem wiadomo, że jest rzeczą, że angina (ostre zapalenie

migdałków) wykazuje również dużą zależność od zmian atmosferycznych. Ale paralela idzie w tym wypadku znacznie dalej. Na podstawie anatomicznej budowy obu tych organów nasuwa się przypuszczenie, że jednym z ich zadań jest pochłanianie wszelkich chorobotwórczych bakterij, jakie dostać się mogą do organizmu. Wynikałoby z tego, że w wyrostku robaczkowym mieści się pewnego rodzaju „magazyn” tych chorobotwórczych bakterij, które czekają tylko na pomyślne warunki i sposobność, by rozpocząć swe niebezpieczne dzieło. Toczy się tam cicha, nieustanna walka, — w której organizm ulega z chwilą, gdy albo odporność jego się zmniejsza, albo też zarazki chorobotwórcze zdołają rozwinąć energiczniejszą działalność.

I tutaj wchodzi w rachubę owe wypadki, powyżej przytoczone: niehigieniczne odżywianie się, jakieś grube błędy dietetyczne, — i wreszcie wpływy atmosferyczne. Czasem jedna z tych okoliczności wystarcza, by „przebrała się miarka”. Przychodzi ostry atak appendicitis, tem groźniejszy, że zarówno w samym wyrostku robaczkowym jak i w ślepej kiszce znajduje się zawsze odpowiednie podłoże, sprzyjające szybkiemu i gwałtownemu rozwinęciu się infekcji.

Dlatego ostrożnie z jedzeniem, — zwłaszcza w okresie burz wiosennych i jesiennych!

(r.)

Anning Bell

W Robercie Anning Bellu straciła Anglia jednego ze swych najwybitniejszych artystów. Mówię artystów, gdyż uprawiał on nie jedną sztukę, ale kilka. Szerokim kołom publiczności jest znany przede wszystkim jako twórca witraży i mozaik. Najwspanialszą z tych drugich jest t. zw. tym-

panum nad głównym wejściem do katedry katolickiej w Londynie. Artysta przedstawił tu Matkę Boską i św. Józefa stojących po obu stronach siedzącego na tronie Chrystusa, po bokach zaś klęczących św. Piotra i św. Edwar da Wyznawcę. Kompozycja odznacza się wielką prostotą i jest wybornie dostosowana do tła, które stanowi

mur katedry. Wszystkie postacie są smukłe i nieco stylizowane.

Bell malował jednak z równym powodzeniem. Jego jedyny obraz olejny, treści również religijnej, bo przedstawiający Najświętszą Pannę w domu Elżbiety, wisi w Tate Gallery (t. j. w przeznaczonej wyłącznie na dzieła sztuki angielskiej części Galerii Narodowej). Więcej jest jego akwarel. W r. 1922 urządzono w Londynie t. zw. bezimienną wystawę. Szło o to, aby zapobiec terrorowi nazwisk i umożliwić ocenę obrazów bez żadnych uprzedzeń prestiżowych. Powszechną uwagę zwracała akwarela, przedstawiająca most w Valentré u Cahors we Francji. Ogólnie przypuszczano, że jest to dzieło najsławniejszego wówczas angielskiego malarza Sir Johna Sargenta. Zgodnie z regulaminem wystawy na tydzień przed jej zamknięciem umieszczono na obrazach kartki z nazwiskami malarzy. Okazało się, że twórcą był Anning Bell.

Działał on również jako rysownik i ilustrator książek. Prześliczne są jego rysunki do „Burzy” Szekspira, której wydanie ozdobił również ornamentami, upiększającami każdą stronę.

Anning Bell studiował sztukę we Francji, przede wszystkim pod kierownictwem Aimégo Morot i stale utrzymywał kontakt z tamtejszymi artystami. Pozostawał do końca życia pod wpływem artystów francuskich, działających około połowy XIX w., zwłaszcza Hipolita Flandin.

A. E.

Ciekawostki ze świata

MUZULMANIE EGIPSCY A RODZINA

Przeprowadzenie statystyki małżeństw muzułmańskich w Egipcie natrafiało do niedawna na niepokonane trudności. Wszelkie wysiłki biura statystycznego, prowadzone przez władze angielskie, rozбивały się o średniowieczną postawę czcicieli proroka, którzy mówili sobie: Co białym ludziom i niewiernym w dodatku, do naszego życia rodzinnego? Wytrwałość Anglików zwyciężyła dopiero w r. 1933. I tym razem robiono dużo trudności. Pół roku trwały pertraktacje z t. zw. Mazaunami t. j. urzędnikami, którzy dają śluby i prowadzą księgi. Ostatecznie jednak ustąpili i zdołano zestawzić cyfry dla całego kraju.

Koran zezwala wyznawcy proroka mieć cztery żony, ale poligamia — zniesiona przez postępowego Kemala Paszę w Turcji — zanika w Egipcie z przyczyn gospodarczych natury, a proces ten posunął się ogromnie naprzód w czasie kryzysu. Natomiast bardzo częste są rozwody. Wynoszą one ni mniej, ni więcej, niż połowę cyfry małżeństw, z czego połowa zaszła w przeciągu czterech

lat po ślubie. Częściej żąda rozwodu kobieta, niż mężczyzna. W r. 1932 małżeństw zawarto 21.8 na tysiąc muzułmańskich mieszkańców — ma to być cyfra bardzo wysoka.

—0—

STARE PANNY I KOTY

W Gałacz w Rumunji mieszkały siostry Kementitz, dwie panny po pięćdziesiątce. Sąsiedzi ich zwrócili się do policji ze skargą, że nie mogą wytrzymać z powodu kotów, trzymanyh przez nie w pokojach. Dniem i nocą słyhać było miauczenie, prócz tego zaś miłe zwierzątko rozwłóczyło wciąż po gan- kach i kurytarzach surowe mięso, którym je karmiono. Policja początkowo szanowała mieszkanie panien Kementitz, uznając zasadę „Wolność Tomku w swoim domu”. Ostatecznie jednak postanowiła rzecz zbadać i mimo protestów gospodyń weszła do kociego raju, stwierdzając, że udziela on schronienia ni mniej ni więcej, tylko stu pięćdziesięciu egzemplarzom płci obojga.

—0—

Zmarłwienienia radjowego humoru

Najtrudniejszą, ale zarazem chyba najbardziej pożądaną rzeczą na świecie jest humor. Sama etymologia słowa wskazuje na to. Humor — przebież nie jest niczym innym, jak, według wyobrażeń starożytnych, ową „wilgocią w ludzkim ciele, która, gdy jest harmonijnie rozłożona, gwarantuje duchowe i fizyczne zdrowie jednostki”. Ze ci lekarze starożytni mieli jednak dużo słuszości, przypisując humorowi tak cudowne właściwości, świadczy popularność wesołych audycji radjowych w najszerszych warstwach społeczeństwa. Nic w radju nie wywołuje takiej fali entuzjazmu jak pełna humoru Wesoła Fala, ale nie też nie wywołuje takiego ataku pretensji, jak ta sama Wesoła Fala, gdy się trochę tylko nie uda.

Widocznie radjostłuchacze mają zbyt mało tej błogosławionej wilgoci, a opłacając trzyzłotowy abonament domagają się jej od radja. Czy jednak jest to słuszne? Czy radjo naprawdę może spełnić najwyższe pod tym względem wymagania. Czy radjo jako precyzyjny ale działający tylko w pewnych określonych kierunkach instrument może dać humor tak żywiołowo działający jak scena i ekran? Trzeba sobie odpowiedzieć na te pytania. Trzeba ustalić rodzaj i granice radjowego humoru. Słuchacze, poznawszy wszystkie troski i zmarłwienienia radjowego humoru, będą wiedzieli, ile wesołości może dać głośnik, jakiego typu i w jakim zakresie. Może wówczas będzie mniej nieuzasadnionych pretensji, a więcej rzeczowych uwag i serdecznych napomnień.

Atak wesołków na mikrofony

Jeśli w Polsce nikt jeszcze nie pokusił się o teoretyczne ustalenie podstaw działalności programowej radja, trudno wymagać, by opracowano tylko węższą część tego zadania, a mianowicie problem humoru. Przecież właściwie humor radjowy uprawia u nas tylko stacja lwowska, a dopiero w ostatnich tygodniach pierwsze kroki na tym polu stawia Wilno i Kraków. Korzeniami swymi tkwi radjowy humor Lwowa w wesołości młodych studentów uniwersytetu, którzy pewnego pięknego wieczoru sami napisali i sami wykonali cały program rewjowy, dając w piosenkach i skeczach tyle dobrego miejscowego dowcipu, że nie tylko zyskali sobie pokłask całego miasta, ale i imprezie swej zdobyli trwałą pozycję. Nasze Oczko stało się oczkiem publiczności lwowskiej. Wkrótce miało się stać oczkiem całej Polski.

Trudno wdawać się tu w pisanie dzieł tej inwazji młodych wesołków na fale eteru. Dość, że powoli gros wykonawców znalazło się wśród ciszy studia rozgłośni lwowskiej, zmieniając mało pojemną widownię na nieograniczoną akustykę eteru. I gdyby istniał w radjo jakiś powrotny rezonans niewątpliwie gromkie oklaski, jakimi słuchacze powitali pierwsze lwowskie Wesołe Niedziele, wywołałyby najprawdziwszą burzę. Objawiła się ona w formie niestychającej obfitej korespondencji, która drzwiami i oknami zaczęła walić się do Rozgłośni Lwowskiej. Czytać to wszystko, segregować, odpowiadać — było niemal cięższe niż pisać wesołe teksty na cały wieczór. Listy te są cennym materiałem. Po raz pierwszy w dziejach krytyki literackiej ma w Polsce głos w sprawach artystycznych nieznan słuchacz, człowiek z tłumy, nie tylko wypowiadając swój ciekawy sąd z odwagą, ale i formułując go w sposób intrygujący. Może kiedyś ktoś zaglądnie w te stosy korespondencji, a będzie mógł z nich ustalić przecież smak artystyczny społeczeństwa polskiego w r. 1932.

Zaniedbana dziedzina teorii literackiej

Dziś drgają humorem i wesołością fale eteru w każdej niedzielę. — Zwiększenie ilości tych audycji, podniesienie ich do rangi stałych audycji Polskiego Radja z zasięgiem na

całą Polskę, zrobienie z nich czegoś w rodzaju wizytówki humoru, którą się składa w domu radjostłuchacza, uczyniło problem humoru radjowego zagadnieniem niezmiernie doniosłym. Tymczasem trudno jest rozpatrywać teorię humoru radjowego wtedy, gdy sprawa ta nawet wśród znawców literatury jest jeszcze chwiejna. Nawet zupełnie pierwszorzędni teoretycy nie odpowiedzieli jeszcze wyczerpująco na pytania: co to jest humor? co to śmiech? dlaczego takie zestawienia słów wywołuje wesołość, a inne tylko obojętny grymas?..

Ludzie radja nie wiele mają czasu na zajmowanie się zagadnieniami teoretycznymi. Zbyt wiele praktycznych, niemal natychmiastowych zadań pro-

gramowych leży w ich zakresie działania, aby mieli jeszcze czas na budowanie teorii tego, co robią w praktyce. Przecież dyrektorzy teatrów nie piszą teorii dramatu, a powieściopisarze, tworzący literaturę, nie wykładają jej dzieł na uniwersytetach. — Podział pracy, jak wszędzie, tak i w sprawach sztuki, decyduje o rezultatach.

Zanim więc teoretycy sztuki radjo wej — jeśli tacy w najbliższej przyszłości w Polsce znajdą się — dadzą wyczerpujący zarys teorii radjowego humoru, wypadnie obecnie rzucić kilka myśli i spostrzeżeń, które mogą mieć to znaczenie, że powstały blisko codziennej praktyki rozgłośni lwowskiej.

Specjalne warunki radiofonii

Określić zgóry tematy, które nadają się, do humorystycznego opracowania w Radjo jest bardzo trudno. Komizmem w estetyce nazywa się to co występuje z pozorami czegoś wartościowego, zostaje jednak później zdemaskowane jako bezwartościowa nicność humor zaś, wyszukując słabe strony wszelkich wielkości, odbiera pozorne wartości życia jednostek lub grup wskazując sytuacje, w których kultura tych jednostek czy grup jest tylko zewnętrznym uniformem, a idealizm tylko niezręcznym pokrywaniem grubego materializmu. Nauka estetyki definiuje i komizm i humor w zasadzie, nie wdając się w praktyczne jej zastosowanie. Jeśli jednak wielu odmiennym rodzajom literackim wspólne jest to, co okazuje się komizmem lub humorystyczne — praktyka musi stanąć na innym stanowisku. Każda realizacja dzieła mającego cechy humoru, musi być odmienna w zależności od odmiennych warunków technicznych. Jedno i to samo dzieło wystawione na scenie, przedstawione na filmie i zradiofonizowane przed mikrofonem stać się niejako dzięki reżyżerskim adaptacjom trzema różnymi wersjami zasadniczej

idei autora. Mikrofon jest jednak jeszcze bardziej w specjalnym położeniu niż teatr lub kino. W zasadzie i teatr i kino ma bardzo dużą swobodę w wyborze tematów humorystycznych. Radjo dzięki systemowi abonamentu, który jest nie znany innym przedsiębiorstwom artystycznym, musi liczyć się nie tylko z przeciętnym gustem swego wielotysięcznego odbiorcy, ale również musi uważać pilnie, że słuchają go wszystkie warstwy społeczne, wszystkie stopnie wykształcenia, wszystkie dzieci i wszyscy starzy. Każdy abonent uważa, że ma prawo domagać się właśnie w tym momencie gdy stworzy odbiornik audycji humorystycznej dostosowanej do swego gustu i swoich zainteresowań. Jest to oczywiście nietylko trudne — jest to wprost niemożliwe. I dlatego można spróbować się latwiej w opinii o jakiejś sztuce teatralnej lub o filmie, na które chodzi ludzkie o możliwość wspólnych zainteresowań z większą jednością sadu, niż w radjo. Z tem trzeba się liczyć odwieczaliby się dostosowywać program do wymagań publiczności i do listów radjostłuchaczy.

Śmiech jest zaraźliwy

Każdy, kto zna dzieło Bergsona o śmiechu wie, że jest on zaraźliwy czyli innymi słowy łatwiej, szybciej i skuteczniej rozśmiesza masę, niż jednostkę. Do wyjątków należy człowiek, który czytając samotnie gazetę zaśmiewa się na śmierć z dowcipów. Ale to same dowcipy odczytane lub jeszcze lepiej, opowiedziane w gronie kilku osób, w sposób zupełnie naturalny wywołują salwy wesołości, często tak serdeczne, że można ze zdumieniem zapytać, czy nie są to przypadkiem inne dowcipy. Nie — to nie są inne dowcipy, to tylko działa inaczej swoista psychologia humoru. I tu tkwi następna trudność humoru radjowego. Łatwiej jest rozśmieszyć tyśiąć osób na widowni wielkiego teatru, niż jednego samotnika, który gdzieś tam, daleko, znudzonym gestem nałożył na uszy słuchawkę. Kto wie, może to jest jakiś śledziennik, który nawet łaskotany nie umiałby się zaśmiać...

Człowiek samotny jest uroczyście sceptyczny. Nie wierzy w dobry dowcip. Boi się uśmiechu jako oznaki słabości. Od niepamiętnych czasów ludzie śmiali się gromadnie, a teraz każą im śmiać się samotnie. Przecież samotny śmiechek to niewątpliwa oznaka — u ludu — lekkiego pomieszania zmysłów. Kto wie, czy nie byłoby dobrze wydać jakieś drakońskie prawo, któreby zakazywało samotnego słuchania wesołych audycji radjowych. Słuchajcie gromadą, w kilka

lub kilkanaście osób, a napewno audycje będą się lepiej podobać. Trzeba tylko wybrać sobie, że głośnik jest sceną, a słuchacz widzą. Możnaby nawet ściemnić światło, aby nie widzieć znudzonej miny sąsiada, a tylko słyszeć głośnik i zdrowy śmiech drugiego współsłuchacza, który umie reagować na humor. Wtedy każda wesoła audycja będzie lepsza.

„Gadanie do lampy”

Ubóstwo środków ekspresyjnych w Radjo jest dalszym zmarłwieniem radjowego humoru przynajmniej do czasu telewizji. W Radjo gra rolę tylko tekst autora i głos aktora. Brakuje tego, co najbardziej rozśmiesza w teatrze mianowicie: widoku, charakterystyki, gestu, komicznej maski, gry masu, spojrzenia i t. p. Większość komizmu teatralnego leży przecież nie w samym tekście, ale w grze. Dobra komedia grana przez aktorów nie mających talentu do komicznych ról zanudzi więcej, niż zła w wykonaniu mistrzów.

Wesołość — możnaby powiedzieć — leży w masce twarzy i w grze oczu. Dobry autor operując temi czynnikami bądź podkreśla bardziej komiczne miejsca tekstu, bądź uzupełnia go nawet i każe domyślać się jakichś niewypowiedzianych przez autora możliwości. Te wszystkie podpory teatralnego humoru nie istnieją w Radjo.

Pozatem po pewnym czasie w teatrze wytwarza się jakieś wzajemne oddziaływanie sceny i widowni. W miarę, jak rozwija się komizm sztuki wzrasta śmiech widzów i pobudza aktorów, którzy dopingują się w grze. Wykonawca radjowy odczuwa wokół siebie grobową ciszę. Tylko dźwiękiem swego głosu i siłą swej woli może utrzymać się w nastroju. Nikt i nic nie podnieca go. Jeśli jeszcze zwróci się uwagę, że nie widzi reakcji jaką wywołuje jego gra w słuchaczach, można dojść do przekonania, że los aktora odtwarzającego humorystyczne sceny przed mikrofonem jest godny pożałowania. Jedyna pociechę znajduje w czytaniu listów, które przycho- dza po audycji i przynoszą mu te tak konieczne do każdej pracy artystycznej słowa uznania lub krytyki.

A jednak niesiemy wesołość

Te wszystkie momenty wskazują, że humor radjowy jest w położeniu trudnym i dlatego jest tak rzadki i dlatego jest tak ceniony. Repertuar humoru radjowego, aby mógł być istotnie wesoły, musi być bardziej wyszukany niż jakikolwiek inny humorystyczny repertuar. Ale gdy się znajdzie jakiś naprawdę wartościowy utwór wówczas mikrofon wzrusza i pobudza do śmiechu nie mniej, od kina i teatru. Chciałoby się krzyknąć do głośnika i biec brawo jak w teatrze tym ustom, które gdzieś daleko mówią, ale których niestety nie widać. W tem przenoszeniu humoru wprost do mieszkań jak rano mleczarz przy- nosi mleko, lub piekarz bułki, humoru, który jest tak potrzebny, zwłaszcza dzisiaj, do życia, leży prawdziwa zasługa radjowego wynalazku.

F. P.

Ze świata książki

Zane Grey: Prawo pustyni (wyd. M. Arcta, Warszawa). Powieści Zane Grey cieszą się od dawna zasłużoną popularnością. Znajdujemy w nich zawsze interesującą fabułę, rzuconą na egzotyczne tło, szlachetną tendencję, przepiękne opisy natury i — nieodzowny happy - end.

Wszystkie te cechy posiada i wydana świeżo powieść na tle życia i obyczajów Mormonów, wśród których rozwija się sielanka miłosna bohaterów powieści i pięknej Mescal. Lektura interesująca i miła.

Joseph Conrad: W oczach Zachodu. (Wyd. Dom Książki Polskiej, Warszawa). Jako trzynasty tom zbioru wydania dzieł Conrada pojawiło się w doskonałym przekładzie H. Pajderskiej drugie już wydanie tej głośniejszej powieści, osnutej na tle życia orsyjskiego w caracie.

W przedmowie do tej powieści pisze Conrad m. in.: „Trzeba przyznać, że prosto siłą rzeczy „W oczach Zachodu” stało się czymś w rodzaju historycznej powieści... W książce tej usiłuję przedstawić nietylko polityczne położenie, co zasadniczą psychologię Rosji”

St. Irzyk: Dzienny rozkład materjału naukowego dla I. klasy publ. szkół powszechnych (wyd. Książnica Atlas, Lwów — Warszawa). Niewielka ta książeczka będzie nieocenioną pomocą dla nauczyciela, dając mu nie tylko każdorazowe tematy lekcji, ze wszystkich przedmiotów na cały rok, ale równocześnie naprowadzając go na rozmaite inne możliwości dydaktyczne. A jest to tembardziej ważną sprawą właśnie w klasie pierwszej, gdzie nauka, obywatel się niemal zupełnie bez podręczników, musi być prowadzona specjalnie planowo, przy zachowaniu równocześnie dużej swobody. Autor, znany już z poprzednio wydanych Dziennych rozkładów na klasy III. — VII., i tym razem z podjętego zadania wywiązał się znakomicie.

PROF. WL. SEMKOWICZ: Rzeczpospolita Polska w dobie królów obie- ralnych. Stan polityczny z czasów króla Stefana Batorego (1582) z uwzględnieniem późniejszych zmian terytorjalnych do r. 1770. Podziałka 1:3.000.000. Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa. 1933).

Mapa niniejsza, będąca ostatnim wy-

razem badań, które są jeszcze w toku, przedstawia obraz Polski w epoce jej największej potęgi mocarstwowej za króla Stefana Batorego (1582), dając jednak możliwość śledzenia rozwoju jej granic politycznych w ciągu całego okresu królów elekcyjnych, aż do przedednia rozbiorów. Na tle dyskretnie zaznaczonego terenu rzucają się w oczy barwne powierzchnie Rzeczypospolitej Polskiej oraz otaczających ją mocarstw i leni- nictw, utrzymane w jasnych, estetycz- nych tonach. Granice Korony i Litwy, województw i ziem zarysowane są z mo- żliwą dokładnością i uwydatnione bar- wami wstęgami. Mapa podaje główne- sze drogi oraz szlaki tatarskie, wyróżnia odpowiednim drukiem stolice państw, województw, ziem i powiatów, odzna- cza stolice kościelne wszystkich obrze- dów, grody starościńskie oraz miejsca odbywania sejmików i trybunałów.

Pomimo bogactwa szczegółów mapa jest zupełnie przejrzysta, nadając się do użytku zarówno w szkole jak i przy prywatnej lekturze historycznej. Zastąpi ona wyczerpaną już od szeregu lat pod- ręczną mapę „Polski z r. 1771” tegoż au- tora.